

DODATEK LITERACKI DO CZASU.

Wychodzi w Krakowie trzy razy na miesiąc, tj. 10go 20 i 30go każdego miesiąca jako dodatek do Czasu.

Pojedynczy arkusz Dodatku kosztuje gr. 15. Prenumeratorowie Czasu otrzymują go bezpłatnie.

Seweryn Goszczyński, (wizerunek z galerii poetów). — Tydzień teatrów paryskich. — Krytyka. — Wiadomości Bibliograficzne i Artystyczne.

Seweryn Goszczyński.

(WIZERUNEK Z GALERII POETÓW.)

O! póki ciemne słońce milionów
Póty, o bracia, niech mię nikt nie wini,
Że tak ponuro w mych uczuć świątyni.

I on się także urodził na Ukrainie; w tej arkady naszej, i on, odebrał tam najpierwsze, najsilniejsze wrażenia, które wyrobiły w nim poetycznego ducha, i obdarzyły skarbnicami swymi tak okwiecie, iż naraz buchnął całą lawą młodzieńczej fantazyi, całym bogactwem zbieranych barw i rysów, całą siłą palnych namiętności, uniesień, i długo tłumionych gniewów; — od razu też, jak nieznamy rycerz, ze spuszczoną przyłbicą wjechał w romantyczne szranki. Klątwę, jaką niedawno rzucił był smak klasycyzmu francuski Dmóchowski na Maryję, powetowano uniesieniem, z jakim przyjęto Zamek Kaniowski. — Powiadacie — wołali romantycy — że szkoła nasza nie płodzi nic, krom bajek podkadzielnych i lichych ballad — otóż patrzcie na utwór szerokiego rozmiaru, bujnej fantazyi — dziki jak Szekspirowskie sceny, pełny charakterystycznych postaci, jakby rzuconych ręką śpiewaka Lary lub Korsarza. A wszystko swojskie, ludowe, wyrwane z serca dziejów. — I mieli słusność po sobie: obok mickiewiczowskich Dziadów, przypominających nazbyt szkołę sentymentalną niemiecką, obok Grażyny odsunionej w daleką przeszłość, i klasycznie pięknej, obok ekliwych i manierowanej prostoty ballad Witwickiego, obok Marvi, której rzeczywistych piękności nieumiano jeszcze ocenić godnie, Zamek Kaniowski wyglądał jak któryś z olbrzymów wywołany zaklęciem z głębi pieczary, w pomoc słabemu hufcowi rycerzy, dobijającemu się o rękę królewny. — Zjawisko to, takie niespodziane, sprawiło niemałe zamieszanie równie w obozie Trojan jak Greków, przyjaciół i nieprzyjaciół. Nieznana, nietknięta jeszcze kopalnia samoistności naszego ludu, przeraziła jednych swoją głębią i ogromem, drugich podziwem nowości przejęcia. — Jak-to? — więc ten lud, pełzający czołem przed władzą pana, cośmy go na równi z pracującym bydłem kładli, ten lud — gruby, nieokrzesany, może tak czuć gwałtownie, tyle namiętności dzikich i szczytnych może się mieścić w piersi, okrytej kozuchem; serceż jego tak silnie dla niepodległości bije, że aż bohaterów tworzy?!.. O dziwach i czarodziejstwach pięknej Ukrainy zasłyszano już z dumek Bohdana, ale o takich charakterach i postaciach, dopiero Goszczyński dał wiedzieć... Naprawdę krytycy utrzymywali, że rozmowa puszczyków przypomina scenę czarownic z Makbeta, że opisy i apostrofy do słońca, są jakby odbiciem się barw Walterskockiej Dziwicy jeziora; że Nebaba zarwał coś z bajronskich bohaterów; że w całym utworze przebija duch dzikości krwawej, taki niezgodny z sielankowością słowiańską, wystawianą za typ poezyi narodowej przez Brodzińskiego — mimo tych zarzutów krwawy obraz uderzał nowością, niekiedy prawdą poetyczną, a najbardziej ową prawdą ludzką: że gwałtowne namiętności, uczucia tkliwe i wzniosłe równie mogą się gnieździć pod słomianym daszkiem, jak pod adamaszkami pałaców. O tym wszystkim w poetach naszych nie było ani słyhu; lud wystawiano sobie tak sielankowym, jak go malowały idylle Szymonowicza i Zimorowiczów, a najświeższymi czasy Wiesław. Ale w Zamku Kaniowskim dzikie, szorstkie, zuchwałe postacie kozaczy zagadały jakby głosem wieszczym; zdawałoby się, że obroczona ręka Orliki, przemyła nagle oczy. Kto znał

autora, wierzył w niepodjęzność źródła. Ściągany na Ukrainie za należenie do jakiegoś tajemnego związku, tułał się po tych puszcach i stepach dniewprowych, które tak poetycznie a wiernie odmalował; nie białe dwory otwarły wrota swe tułaczowi, ale wieśniacza strzecha przyjmowała go i chroniła. Tam więc na wieczornicach, na pogadankach w kole potomków koliszczyny wysłuchiwał tyle tajemnic; ów dąb gaduła — to lud ukraiński prawiący mu dzieje tej ziemi. Odtąd, można powiedzieć, poczyna się wątek wyobrażeń, który przesuwają się naprzód przez poetyczne utwory podsycane pieśniami i podaniami gminnymi, co mu nadają pewną pierwotną świeżość i woń, a potem wkracza w dziedzinę polityki, budującej ciągle na uczuciu, na poetycznym mamidle; a pędzonej do tego stopnia, iż całą stronę historyczną narodu odrzuca i potępia, wywołując natomiast takich Nebabów i Szwaczków. Zamek Kaniowski wyszedł naprzód w Warszawie w roku 1828 — i cenzura wyrzuciła zeń ten ustęp z odezwy Nebaby:

Komu różgami ojciec zasieczony,
Czyja się panu podobała żona,
Komu najmilsza córka pogwałcona,
Kogo zbawiono lubiej narzeczonej;
Na ojca boleść, na smutek matczyny,
Na hańbę dzieci, na łaskę dziewczyny; —
Tego zaklinam, wołam po imieniu,
Niechaj wyjedzie i stanie tu, przy mnie!

Lecz w późniejszym wydaniu pism Seweryna we Lwowie r. 1838, miejsce to przepuścił cenzor, jakby złą wróżbę, która się miała spełnić na tej samej ziemi, w lat kilka potem.

Poeta najmniej tu winien: uczucie szlachetne, serce bijące dla wolności, widział niesprawiedliwość popełnianą na jednej części społeczeństwa, i ujęło się za słabym i zgnębionym. Cechą to zwykłą dusz wyższych i pięknych, że stają w obronie słabszych i pogwałconych; tém więcej, jeżeli sobie wyobrażają, że z tych wzgardzonych żywiołów, wyprowadzić mogą nową, świeżą potęgę życia w narodzie. — Coż dziwnego, jeżeli wierzyli, że wskrzeszając sławę hetmańskiej kozaczyzny, lub wywodząc na scenę wszystkie passy zemsty rozhułkaniej czerni, pokazał tém samym, gdzie szukać właściwej potęgi i odnowienia sił, które się niejako w żywocie historycznym zużyły. Tułający się lirnik po stepach i puszcach dniewprowych, podsłuchiwał jakie wspomnienia i myśli grały w piersiach ukraińskiego ludu; sam prześladowany, wyjęty z pod prawa, a w niecierpliwości młodzieńczej oburzony na brak hartu współrodaków, na charaktery miękkie i niepewne, tknięty został jeżeli nie piękną cnotą i bohaterstwem, to ogromem dzikości i zbrodni. W ślepym szale rozhułkaniej czerni, której godłem pożoga i mord, widział narzędzie zemsty za długie krzywdy narodu. — Słubował więc bożyszczu zemsty; ono — poecie — zsyłało natchnienie, wprowadziło niezaprawne słodyczą anielskiej miłości, niepromienne i nietęczowe, lecz krwawe z widmami ruin, pożarów, wisieleców, puszczyków — straszne, jak noc popełnionego zabójstwa, tajemnicze jak przysięgi spiskowych. Ależ umysł artysty, taki dotkliwy i wrażliwy na wszystko co piękne, co szlachetne, czuł się niekiedy jak w więzach; służba czarnemu bóstwu, ta szata zakonna sprzysiężenia, niepokoiły go; on — malarz cudów świata ukraińskiego, który doń przemawiał to starożytnym szumem puszczy Lebedyna, to zwierciadłami Białozyrja; on nade wszystko marzyciel, kochanek samotności i ciszy — wzdrygał się w rachunkach z własnym sumieniem, i niedarmo wołał w pieśni:

O moi bracia, wam się niepodobna,
Zem wybudował poezyi (zemsty) bożyszczu
Świątynię, w której kapłanem żałoba,

A płomień śmierci na ofiarne zgłiszczu;
Że samę uczuć krwających się szkaradę,
Jako obiatę na jej ołtarz kładę.

To niewinnienie się poety, dowodzi, że świat, w którym stanął, ścieśnił jego widok, że wyobrażenia jego były rodzajem zakonnej szaty, której bujny duch niemógł się pozbyć, bez ubliżenia świętości przysięg wiążących go. — Przeważnie też chcąc zbadać z gruntu talent poetyczny Goszczyńskiego, trzeba niejako oddzielić w nim artystę od człowieka tajemnych stowarzyszeń; lubo z drugiej strony trudno jest naznaczyć granice natchnień; jedne bowiem płynęły z celu jaki miał przed sobą — drugie czerpał z cudów widomego świata, z wspomnień i uczuć młodości, i obrabiał je jako mistrz, tworząc obrazy i postacie, pełne krwi i życia, silnie i wydatnie, choć szorstko i jaskrawie. — Jak wiemy, talent wyrabia się i przekształca pod wpływem tysiącznych przyczyn, które należy badać, lub odgadywać. Zastanawiać się więc nad manierą tego lub owego autora, jedno jest, co zapuszczać wzrok w najgłębsze tajniki jego życia, co trzymać rękę na biciach jego serca. Dziś możemy śmiało powiedzieć, że Zamek Kaniowski winna literatura nasza, okrutnemu losowi, który poetę ściagał; gdyby nie ten pobyt między ukraińskim ludem, nigdyby może niezdobył się na taki utwór. Ten sam Goszczyński rzucony w duszną atmosferę miast, ciasne widzenia stronictw, fanatyzm spiskowych, byłby płodził pieśni, które mimo pochwał Mochnackiego o ich liryzmie, mają tylko ołowiane skrzydła myśli za ledwo wyległej, wyraźnie ciężkiej do ziemi i raczej są opracowanymi aforyzmami, niż pieniem, rwącym się z duszy w najwyższym nastrojeniu uczuć. Lecz wróćmy do Zamku Kaniowskiego. Co nas najbardziej w nim uderza? Oto rzadka w naszych pisarzach plastyka, wydatność postaci i charakterów. Ow Nebaba, Szwaczka, — to posągi tak wykończone, tak z jednego wykute, że gdy je przymierzysz do dzisiejszych półcharakterów, zdają się odnosić do jakiejś przedpotopowej epoki, a jednak znamienia prawdy nietracą. Tylko niepospolita indywidualność artysty, zdolną jest zdobyć się na taki utwór; Goszczyńskiego też duch silny, niezłomny, ognisty i głęboki jak Dniepr jego matka, i szeroki jak step bezbrzeżny, tworzył na podobieństwo swoje; niedarmo go też w kole przyjaciół mianem Nebaby ochrzczono. — Bo jakże po mistrzowsku skreślił tego atamana:

Ataman: stary, w kole starych ojców;
Jak sam pan polski, przed panem tak hardy;
Prędko, jak połysk, co biegnie żelazem,
Lecz w swojej zemście jak żelazo twarde;
Czczony od swoich zarówno z obrazem:
Duszą jest dziewcząt i wieczornic razem!
Ten czarny wąsik, co w drobnym pierścieniu
Nad różowemi ustami się zwijsa;
Ten wzrok, co przy brwiach ciemnych tak odbija
Jak blask południa przy północy cieniu;
Ten kształt postawy, co burką opięty,
Tak się wydaje w wspaniałym pochodzie
Jak maszt bajdaku, gdy żagiel rozdepta
Mknie go z wiatrami po Dnieprowej wodzie. —

Ten Nebaba — to cała historia, to poetyczna wielkość Ukrainy; za Batorego byłby może hetmanem kozaczyzny, dziś — prosty buntownik, watażka zbieranej kupy chłopskiej; niedarmo też bohaterki i dumny umysł jego niemoże się zgodzić z tą drugą na pół komiczną figurą Szwaczki, mieszczanina kaniowskiego, która jest nieporównanym typem prostego rabusia, obdarzonego instynktem zwierzęcym, co w polu otwartym niepostawi czoła, a wietrzy tylko za rzezią i dupiestwem. Stosownie też rozdał im poeta role: kiedy pierwszy stacza rycerski bój z wojskiem koronnym — drugi przebudzon z snu pijanego,

bezbronny zamek napada, podpala i w jego gruzach się grzebie. — Podobnych postaci pełno w całym poemacie; a wszystkie żywe, poetyczną rzeczywistością przyodżiane, mimo, że wyobrażają się dziećmi. Orlika i Ksenia: aczkolwiek pierwsza w scenie zamordowania rządcy przypomina Parisinę, a druga na myśl przywodzi obłąkaną Blankę w dziewicy jeziora — jednakże powinowactwo to zacierają się pod rysunkiem i kolorytem właściwym poecie. Orlika zawsze pozostaje typem Ukrainki, tej ofiary chuci swojego pana, ale gotowej mścić się żelazem za śmiertelną obrazę serca. Ksenia, to znów, cała poezja i wiara gminu upostaciowana; upiór — topielec — zjawia się jak zławrózba na wieczornych schadzkach, i jednego tylko Nebabę zastraszyć nie może, który się rzuca nań z pięścią, jakby się czuł wyższym nad sam przesąd gminu... A lirnik-że? — ów tajemniczy ślepiec, pełen mefistofelicznej ironii, zjawiający się tak niespodzianie Nebabie w gęstwi boru — jakaż to oryginalna kreacja!

Niemozna już nic trafniejszego stworzyć z włożącego się dziada, tej figury tak popularnej na Ukrainie, jak stworzył Goszczyński w lirniku. — Krótki, pełen najwyższej dykeyi dyalog jego z Nebabą, tyle mieści w sobie prostoty, prawdy, humoru, a szczególnie frantostwa naszego chłopca, że nieledwo za najjenialniejszy uważałbym w całym poemacie...

Dotąd mówiłem o samych aktorach krwawego dramatu — a teraz-że co powiedzieć o tej obrazu? o tych opisach tak malowniczych, że tylko jakiemu Claude-Lorrainowi brać pędzel i umaczawszy go w barwy najwyższe, wyrażać te nieskończone perspektywy, jak je poeta pędzlem swych słów wyraził. Goszczyńskiego poezji ta jest wybitna cecha, że on nigdzie gołej myśli nie rzuca, ale ją wszędzie wpłata w otaczającą cię naturę. Mruganie księżycy i gwiazd, lot obłoków, szum puszczy, klekot krynicy, drzenie kropki rosy, szmer cichej trawki, głos puszczyka, cienie olbrzymie, wszystko to gra wspólnie z człowiekiem, przejmując jego myśli, odpowiada na nie, zgłofa, żyje i rusza się, jakby w jakim dramacie sanskryckim. Niedziw, dla czego ten ubóstwiciel natury, nieraz w ciągu opowiadania zrywa nagle wątek swjej epopei i wpada w liryzm, w hymn tak wspaniały, tak pełen szczerego zachwytu, jak w żadnym z jego wierszy, które pisał z pretensją do liryki, niemogłbyś znaleźć. Komuż obce to pożegnanie jesiennego słońca:

Gwiazdo, świetna, wesoła jak anioł młodości!..

Poruszwszy raz piękności Zamku Kaniowskiego, trudno tak prędko z niemi skończyć; a najtrudniej powiedziawszy tyle, zapomnieć o najszczytniejszym, głęboko przejmującym obrazie trwogi i przeczuć strasznych, napędzających Kaniów, gdy gruchnęła wieść o hajdamakach. — Wszystkie rysy, zgromadzone tu przez poetę, tak są trafne, tak przyczyniają się do wrażenia, jakie cały ten ustęp na czytelniku wywiera, że gdyby je malarz rzucił, jak są, na płótno, mielibyśmy jeden z najwspanialszych obrazów, przerażający i patetyczny, jak jaki sąd ostateczny:

Z rękami w niebo, płakał lud skruszony
Śród poświęconych sklepów Wszechmocnego:
Ściany świątyni wtórzyły płacz jego.
Księża śpiewali pokutnymi tonami.
Kaniowskich dzwonic jęczały wciąż dzwony.
W każdym ołtarzu światła wciąż pałały.
Nieocenione słono zewsząd wota,
Z drogich kamieni, ze szczerzego złota.
Wielkie ofiary, bo i strach niemały!
Płakali wierni, płakali niewierni.
Wprzód, niżeli noc barwy poczerńi,
Dzieci Solimy, przed arka bożnicy,
Bez pięci różnicy, bez wieku różnicy,
Upadli na twarz, w pogrzebowej bieli,
Jakby od gniewu Bożego oślnęli.
I, w pył ziemni czoła ponurzywszy,
Podnieśli głucho lament, żałośliwszy,
Niżli go słyszał świata wiek daleki,
Na obcych brzegach babilońskiej rzeki,
I Izzy Dawida z ich się ócz polały.
Szczerze-to płacze, bo i strach niemały!..

Dotąd przebiegłem częściowe, pojedyncze pię-

knoty Zamku Kaniowskiego; nieodręczy będzie napomknąć o całości kompozycji. W utworze tym znać ówczesny wpływ romantyzmu; poeta niewydobył jeszcze z siebie, ani z narodu tych pojęć, jakie prace krytyków i poetów później wydobły przy tworzeniu rodzimjej poezji. Początek zawiązuje się intrygą: Rządca rozkochany w prostej dziewczynie Orlice, chcąc ją zmusić do oddania sobie ręki, każe jej bratu kozakowi pilnować wisielca, którego potem odrzucił z szubienicy. Szydłwach staje się winnym kary śmierci; siostra chcąc głowę brata ocalić, przystaje na niemidy związek. — Jaka niepotrzebna płątina, kiedy wiemy, że wola pana dostateczną była, aby opór dziewczyny złamać. Wreszcie ten nieswojski sposób zdradza tylko chętkę wprowadzenia wisielca, szubienicy, rozmowy puszczyków, i jakiejś zagmatwanej tajemniczości, która może być bardzo romantyczną, ale niezgodną z prostotą, a najbardziej z prawdą.

Jak już napomknąłem na początku, Seweryn w utworach swoich występuje jako artysta, i jako polityczna indywidualność; pieśni jego noszą ten ostatni charakter; w nich też najwybitniej maluje się młodość, marzenia, dążności i czyny poety; z nich najlepiej można fizyonomię jego odgadnąć. Mochnacki kreśląc w historii powstania tę ważną figurę, powiada, że w dzień pisał liryki swoje, a w nocy miewał tajemne narady. Obdarzony siłą atlety i siłą woli, zdawałoby się, czytając jego pieśni, że natchnienie, jak latawiec, gdy doń zaśpiewał: *wypłyni, wypłyni z za obłoku!*... związane rozkazem, spływało w pierś poety — ale wiemy, że duch boży zstępować zwykł w pewnych tylko momentach, *ubi vult*, a nie na zawołanie lub zakłęcie; bo tak jawią się tylko złe duchy. — Ten gwałt, to silenie się — wszędzie przebiega w jego lirykach; dla tego tak są ciężkie, tak filozoficznie zimne; zakrawające nieraz na grubą materyalizm i sarkazm wolterowskiego wieku, to znów na mistyczny symbolizm, lub na jakieś bajrońskie przesady i nudy. Wszędzie przymus, lub zgóry postawiona teoria, nigdzie prawdy i szczerości w natchnieniu. A bez tej zalety, jakaż może być wartość pieśni? Cóż w istocie przez tyle wieków przemawia za poezją czasów Peryklesowych i Augustowych? Oto, że wspaniałości i cuda zewnętrznego świata, serce z pragnieniami, życie z smutkiem i weselem, wystarczało najszczytniejszym natchnieniom liry. Sztuka zwykle idealizuje temat pieśni; ale temat ten ma swój przedmiot ziemski i ludzki, a zarazem znaczenie bezpośrednie i wyraźne. Zeby tylko Horacego przytoczyć, w którym się skupia w kształcie najsyntetyczniejszym, najpłynniejszym, wszystko co technie swobodą i lekkością muzy greckiej, *spiritum graiae tenuem camenae*, niewidzimy, aby się pod jego harmonijnym rytmem kryła jakaś myśl symboliczna, lub dwuznaczna. Z czołem uwieńczonym mirtem i rychło wędzącymi różami, w ubiegających nagle godzinach widzi tylko bodziec do krótkich uciech. Kiedy Pjrrha rozpłaszcza włos płowy, kiedy Thaliark wyciąga z piwnie stare massiaki i cekuby, on, wiatrom rzucając troski, które je roznoszą po morzu kretańskim, śpiewa i wody Albuneju, i nimfy, i miłość, i zapomnienie szybko goniących lat. — Tak szczerota, przejrzystość uczuć, jakże jest daleką od tych humanitarnych filozofowań, od tych spowiedzi z przesyłow, rozczarowań, niesmaków, od całej tej pretensjonalnej metody, która gardzi niejako tém, co ją otacza, a pragnie tylko wszędzie przeprowadzić swoją teorię. Takim mniej więcej jest Goszczyński, mianowicie w *Trzech Strunach*, z których dwie tylko wydał. Mimo że pieśni te odpowiadały ówczesnym wyobrażeniom; zimno zostały przyjęte; taki w nich brak prawdziwego natchnienia i zapału; i polotności i śpiewności, i tego, co się mimowolnie wyrwa z głębi duszy, a żadnym rozmysłem, ani hartem woli zastąpione być nie może.

Goszczyński jako wieszcz i artysta tém chybił, że źródłem swych natchnień w pieśni, zrobił je-

den moment w życiu narodu; moment przemija, inna myśl zaprzęta umysły, więc i pieśń ma pójść w zapomnienie. Kiedy Zaleski obrał sobie czarowny świat Ukrainy i uczucie religijne, on, więcej ideolog, humanista, zstępował w podziemia spisków i sprzysiężeń. — Żał tyła młodzięczych uniesień i ogni, że nie sypnęły czemiś, coby przetrwało i żyło dłużej, niż spisek wykryty, lub zakończony katastrofą. Uczuł to i sam poeta, kiedy nawet ostatniej z *Trzech Strun* nieogłosił — uczuł, kiedy na inne godniejsze siebie przedmioty puścił pióro — uczuł — kiedy i w życiu innych, głębszych i wyższych poszedł szukać celów. Wola nieczem niezłomna, dusza wrażliwa na wszystko co wielkie, co wymaga poświęceń, fantazyja bujna, lecz na wodzy trzymana rozmysłem artysty, pierś atletyczna, której tchu wystarczy na najszersze dzieło, najdłuższe przedsięwzięcie; a przytém surowa cnota, jeszcze zasiloną i opromienioną gorącą wiarą — oto, rekojmie, które nam daje ten mąż narodu, że jeszcze niewszystkie struny zerwał, a raczej, że nawiązał nowe, z których popłyną, orle kiedyś pieśni. Taką przynajmniej wróżbę cieszę rodaków, smutnych, że głos Nebaby ucichł oddawna. Lecz zresztą, któż potrafił zgłębić organizm poetyczny; kto może na pewne wyrzec, dla czego kwieciami się okrywa, lub wędnie i ginie? Jeden przestaje śpiewać, gdy niewidzi wpatrujących się w siebie dwoje ócz kochanych, gdzie czerpał życie, i radość, i nadzieję; inny milknie, gdy ból, co go dręczył, schował swe żądła. — Tak więc o struny gęśli bije tylko ból, lub wesele. — Niezbadane tajemnice! zagadki bez klucza! pocóż was badać? dość nam, gdy wierzę, że po tej grobowej ciszy przyjdzie duch Boży, i wstąpiwszy w lutnie wieszczę, obudzi je do tak olbrzymiej pieśni, jaką nigdy jeszcze niebrzmiała.

Tydzień teatrów paryzkich.

Scenę francuską sądzimy zwykle z feletonów, i to bardzo naturalnie. Miło jest zasiąść, jak to mówią, do gotowego. A to tém bardziej, gdy stół zastawiony ze smakiem, potrawy przyprawne według prawideł i mody i gustu. Nie wchodzimy wtedy zazwyczaj, czyli sól i korzenie właściwie rozdzielone zostały, czyli nie było tam rozmysłu, aby ta lub owa zastawa tak a nie inaczej smakowała. Dostyc na tém, że smakuje; a z tego, że tak lub inaczej — wypada sąd, że się musi składać z takich lub innych żywiołów.

Zjechawszy do Paryża, łatwo się jednak przekonacie, jak nas owe amfitryony sceny francuskiej zawiodą i umyślnie w błąd wprowadzają. Na wiarę wyroku pana Janin, wybierasz się wcześniej na tę lub ową sztukę, abys miejsce znalazł, bo według pochwał szanownego krytyka, kilkogodzinna zagraza ci czekania. Lub, jeżeli czekać niechcesz, i masz za co, (bo nie czekać, to rzecz droga w Paryżu), przepłacasz wcześniej miejsce w biurze lokacyjnym. Wchodzisz nareszcie — teatr prawie pusty. Z zadziwieniem dowiadujesz się, że sztukę zachwaloną i którą widzieć byłeś ciekawy, tylko przy drugiej można wystawić i inaczej wcale by jej niedawano. I znów, jeżeli się spóźnisz, w moc zaręczenia pana Teofila Gauthier, łatwo ci się wydarzy, że miejsca nieznajdziesz. Pomimo krytyki, sztuka zganiona, potępiona, ma sukces szalony.

Mniejsza o podobnego rodzaju siurpryzy. Tych krótkim pobytom w Paryżu łatwo jest uniknąć. Ale ci panowie, wykrzywiają sąd o prawdziwym charakterze teatru, jeżeli nie we Francji, gdzie osobistości ich są ocenione i opinia o ich krytyce wyrobiona, to niezawodnie za granicą. I tak, któż nieuwierzył u nas, że dramat francuski zaniechał już tych okropności w przedmiocie, tych

nadzwyczajności w intrydze, że zwrócił się ku moralnej stronie, jaką teatr koniecznie winien mieć na pieczy, a którą tak bezwzględnie opuścił. Feleton debatów powtarzał nam to ciągle, wtórował mu lubo mniej, przyznać należy, feleton Pressy. Jakże się rozplątał p. Janin nad sztuką w Théâtre Français wystawioną „Gabrielle.“ Ow, wierny apologeta burżuazyi, której rewolucya 1848 tak srogi cios zadała, niemógł się dosyć nachwalić tej sceny, w której mąż przychodzi do żony z prozbą, aby mu guziczek do koszuli przyszyła — co w praniu zrobić zapomniano. Przekłeta praczka!!! W tym cudnym epizodzie widział szanowny krytyk sukces sztuki. Był to bowiem (według niego) powrót do zdrowych wyobrażeń, ruina socjalizmu, tryumf rodziny, a tćm samćm własności, itd. Niestety! pomimo tego wszystkiego komedya żyć niemogła — upadła. Niech się jednak uspokoi pan Janin. Jakikolwiek obrot ludzkość weźmie, zawsze żony mężom guziki do koszul przyszywać będą — skoro praczki zapomną — lub nie będzie kogo innego, aby to zrobił. „Gabrielle“ zaś nieupadła dla tej sceny, bo ta, jako rzeczywistość, jest zupełnie w duchu dramatu terażniejszego; ale dla tego, że zalety innej niemiała, prócz tej, iż dogadzała opiniom politycznym p. Janin. Wiele podobnych mógłbym przytoczyć przykładów. Panowie feletoniści, bądź właśnie polityczne widoki, bądź duch dziennika, w którym piszą, bądź wreszcie osobiste różne względy, więcej mają na oku, niżeli prawdę. Piszą często iż tak jest — jakby chcieli aby było. Nam Polakom nięgodzi się zresztą w tej mierze bardzo na nich nastawać. Jeżeli więc znakomity talent, wielka znajomość sztuki scenicznej, a w części i nauka, której odmówić im trudno, czynią, iż pewna część ich krytyki zawsze na uwagę zasługuje, to z drugiej strony stronność w polityce i w indywidualności swe źródło mająca, wzbraniać nam powinna przyjęcia w całości ich zdania, szczególnież zaś tam, gdzie o terażniejszą idzie chwilę.

Mówiąc o scenie paryzkiej, mówię o dramacie. Dramat bowiem jest wszędzie na scenie francuskiej, w jakiej bądź formie, czy trajedyi, komedyi, wodwila, a nawet opery. Dramatu nierozumiem znów w abstrakcyjnym tej części sztuki znaczeniu, czyli nie biorę wcale rzeczy *ob ovo*. Nie piszę bowiem krytyki lub rozprawy, chcę tylko scharakteryzować dzisiejszą scenę paryską, to jest, wykazać tę cechę, którą istotnie posiada, która ją dzisiaj różni od roku np. 1847. Jeżeli więc piszę o dramacie, to naturalnie o tym, któregośmy widzieli panowanie, zaczęte po rewolucyi lipcowej z roku 1830, dalej coraz absolutniejsze i bardziej tyranizujące inne części sztuki teatralnej, aż je nakoniec całkiem podgarnęło pod swoje berło. Stawiamy za zasadę sądu naszego o tym dramacie (którego nie nazwiemy *le suprême du genre*, ale *l'extrême du genre*) że celem jego nie jest sztuka, ale sukces — sposobem nie prawo sztuki, ale wyrachowanie efektu. Wiemy, że prawdziwy zwolennik Hugona, Dumasa, Souliego, Scriba, mógłby z nami wielką o tę zasadę wytoczyć dyskusyę. Przyznajemy nawet, że niejednym wyjątkowym mógłby nas pobić przykładem. Wszelako na żadną inną nieprzystalibyśmy koncessyę, tylko na tę, że jeżeli nasza zasada chybia może cokolwiek w teoretycznej absolutności, to niezawodnie jest zupełnie praktyczną. To powiedziawszy, ciągniemy dalej. Efekt zbudowany był na wrażeniu, czyli (niech nam czytelnicy darują, iż używać będziemy wyrażenia lepiej do dramatu francuskiego zastosowanego) na *emocyi*. Otrzymańcie emocyi wymagało intrygi silnej, charakterów nadzwyczajnych, położeń anormalnych, katastrof nieprzewidywanych i okropnych. Nadużycia tych sposobów na tle namiętnćm, musiały być naturalną rzeczą konsekwencyą. Sztuka prawdziwa jedynie mogłaby była stać się wędzidłem dla tej coraz większej pokusy wywoływania emocyi.

Dzisiaj, do wyżej wspomnianych sposobów, przybył jeden — nią jest rzeczywistość. Jeżeli

tamte cokolwiek są zaniedbane, to dla tego, że illuzya całkiem ze sceny francuskiej zniknęła. Emocya dla publiczności jest w rzeczywistości. Charaktery zwyczajne, intryga nie nosi w sobie już tak dziwacznych *Deus ex machina*, śmierć chociaż nienaturalna, przecież znana; — ale wszystko co się dzieje, dzieje się na scenie — wszystko widzieć się może — wszystkiego, że tak powiem, dotykać się można. Stąd emocya — za nią efekt i sukces. Rzeczywistość, nawet brutalna, oto różnica sceny dzisiejszej paryzkiej od przedrewolucyjnej z roku 1848 — oto jej główny chwilowy charakter.

Że jest gatunek emocyi w takiej rzeczywistości, doświadczyliśmy sami. Paryż w miesiącu Grudniu r. p. obfitował w sukcessa teatralne. Przejdźmy tydzień jeden w tym miesiącu sceny paryzkiej, zwiedzając codzien jeden teatr, a zobaczymy, jak wszędzie to samo odbija się piętno.

Poniedziałek. — Teatr francuski daje „Testament Cezara“, dramat wierszem przez Lacroix. Jak nam tytuł pokazuje dramat ten wcale bliski klasycznej trajedyi. Pan Lacroix znakomite zrobił niezawodnie dzieło, przeniknął się znajomością starożytnego świata, napamięć musi umieć komentarze Cezara i autorów, udało mu precudnie i nieraz połączyć gracyą grecką z dowcipem francuskim, jako np. uczynił, gdy Cezar przychodzi do zalotnicy Greczynki i mówi: *Pourrais-je dire aussi de vous: Je suis venu...*

J'ai vu...

Cytheris

Nachevez pas; le reste est si connu...

Podziwiać musimy wzniosłość pomysłu w przecuciu Cezara o zalaniu Europy przez ludy barbarzyńskie, o dążnościach ludzkości, itp. oddać mu sprawiedliwość nakoniec musimy, że ilekroć alluzye polityczne tegoczesne mu tego dozwolą, Brutus i Antoniusz są prawdziwymi Rzymianami. Lecz ani powaga przedmiotu, ani cały zapach klasyczności, ani starożytny kształt togi, i forma koturna; ani co więcej, pewność zajęcia publiczności niezwykłą analogią polityczną, jaką epizod ten Rzeczypospolitej rzymskiej z dzisiejszym położeniem Francyi autorowi zaręczał, niewstrzymało go od szukania w niesłychanej wystawie rzeczywistości szczególnych dla widza emocyj. I tak: w pierwszym akcie, Greczynka, o której wspomnieliśmy, wychodzi z kąpieli i robi toaletę na scenie; w drugim, Kleopatra, która w celu podłożenia testamentu na korzyść syna swego Cezariona, tajemniczo do Rzymu przybyła, wyskakuje ze skrzyni na scenie; w czwartym, przy biesiadzie, korzystając z pijaństwa Antoniusza, który na łańcuchu nosi na szyi klucz od biórka, w którym zamknięty testament Cezara na rzecz Brutusa, naprzód Kleopatra wykrada ów pergamin, pali i fałszywy w to miejsce podkłada, potem zaraz to samo czyni Oktawiusz w jednej scenie i tym samym sposobem; w piątym nareszcie biedny Cezar całą liczbę historycznych pchnięć sztyletów odbiera na scenie, upada pod statua Pompejusza, dalej Antoniusz go podnosi, kładzie trupa na schodach kapitolu, zdiera z niego obrączony płaszcz, przemawiając do ludu, rachuje rany, itd. itd. i to wszystko na scenie!... Biedny Rassyn, gdyby dziś arcydzieło swoje „Fedre“ miał po raz pierwszy przedstawić, musiałby prosić Frankonięgo, aby mu wózka i koni pożyczył, któreby Hippolita rozniosły na scenie! inaczej trudno by mu zaręczyć sukcesu.

Wtorek. — Pójdźmy do Odeonu, tam „Champi“, dzieło pani Georges Sand. Dramat pod nazwą komedya. Rzecz dzieje się w domku wieśniaka. Bochatćrka wdowa po młynarzu, bochatćr „Champi“ (co u chłopów francuskich znaczy podrzutek) młynarczyk. Cała sztuka pełna wdzięku i zalet, oddana zaś z taką prawdą, iż wieśniak, będący na niej, zawołał: Gdyby mój czarny pies leżał przy kominie, zdawałoby mi się, że u siebie! Najpiękniejsza zaiste pochwała i krytyka. Pochwała — bo naturalność i prostota

nigdzie nienadwerżona; krytyka — bo słomą zarzucony teatr, rzeczywistość przesadzona, bo autor szukał zajęcia i emocyi dla widza, w zadziwieniu, jakie sprawiać musi robienie powróseł, negliż ubioru wieśniaka wśród żniwa itd. na scenie!...

Sroda. — Wodwil na teatrze des Variétés, pod tytułem: „La vie de Bohème.“ Przedmiot „Cygańskie życie“ artystów bez grosza w Paryżu. Autor p. Barrère, sam mówi; życie to jest dziełem geniuszu, problematem codziennym — jeżeli im (artystom) się dostanie błyskawica szczęścia, zaraz rzucają się w najdroższe i najdziwniejsze fantazy, nigdy dosyć sposobów na wyrzucenie pieniędzy, — skoro ich się pozbędą, siadają do stołu losu, gdzie ich nakrycie zawsze się znajduje itd. Wodwil ten jeden z najpiękniejszych teatru francuskiego, pełen dowcipu, prawdziwej werwy — ale jakież nadużycie rzeczywistości! Wszystkie owe dziwaczne fantazy, sposoby wyrzucania pieniędzy urzeczywistnione na scenie, do jakże nieraz szczególnych nie prowadzą emocyj! Przytem wodwil, mimo strof i śpiewek, musi być dramatem. Przeto bo hatćrka biedna dziewczyna, przychodzi umierająca, kładą ją do łóżka, nakoniec umiera — na scenie.

Czwartek. — Na teatrze Ambigue-Comique p. Gozlan wystawia dramat: „La jeunesse dorée.“ Jest to jak powiadają, zemsta przeciw Jockey-Club, za wygwizdanie sztuki, którą pierwój był napisał: Młodzież elegancka, modna, wystawiona satyrycznie, ale znakomitćm piórem. P. Gorlan należy niezawodnie do lepszych pisarzy dramatycznych. Lecz na dowód, ile nadużywa rzeczywistości, jako sposobu wrażenia, jedną tylko przytoczymy scenę. Do sklepiku handlarza sukien, wpada młody człowiek, potrzebujący pieniędzy, i chcący w tym celu zamienić piękne i modne swe suknie, na gorsze, naturalnie z dopłatą ze strony kupca. Po zgodzie, wchodzi ów młody człowiek za parawan, dla dopełnienia warunków. Wtćm wpada drugi, który mając pieniądze, chce porzucić ubogą odzież i od razu na modnisię się przetworzyć. Przypadek zdarza, że są jednego wzrostu ci młodzi ludzie. Handlarz układa w myśli spekulacyę — sprzedaje nowo-przybyłemu suknie pierwszego, których jeszcze niema, ale za chwilę mieć się spodziewa — i tymczasem za drugi go kryje parawan. Poczćm ręką handlarza następuje świeża zamiana fraków, kamizelek, krakawatek, wszystkich zgoła części ubrania, których tu wymieniam niebędziemy, a które migają w powietrzu jakby proporce, i przelatują z jednego parawana za drugi, zatrzymując się tylko tyle w rękę handlarza, ile trzeba do zrobienia nad każdą dowcipną uwagą... I to wszystko na scenie.

Piątek. — Będąc w teatrze „Historique“, oddać musimy sprawiedliwość panu Dumasowi, iż w dramacie swoim „Hrabia Hermann“ mniej daleko niż inni użył tej sprężyny efektu. Więcej niż jego koleldy pozostał przy nadzwyczajności charakterów i intrygi. Co do zbytku rzeczywistości zarzucilibyśmy mu tylko, że gdy rzecz dzieje się w zamku niemieckim, wyciągnął pan Dumas kręte schódki przez całą wysokość sceny (jakby na dwa piętra), mające naturalnie wycięż wystawiać, i każe aktorom ustawnie wchodzić na nie i schodzić, co może w zamku się dzieje, ale na scenie przykrą w grze nieraz sprawia zwłokę.

Sobota. — Na dwóch teatrach „La Porte St.-Martin“ i „La Gaitć“ dwa można widzieć dramata, oba z legend bretońskich zrobione. Pierwszy „le pardon de Bretagne“, nie bez talentu, przez p. Marc Fourmier napisany, nosi wszakże bardzo ów charakter, o którym mówimy. I tak np. autor naśladował Szyllera w balladzie „Nurck.“ Lwica paryska rzuca swoją miniaturę w przepaść, ofiarując ją temu, który ją z niej dostanie. Ale przepaść jest na scenie. Prawda, że to łatwiej zrobić niżeli Charybdę. Ale zakochany wieśniak — wskakuje i wskakuje cały krwią zbroczony — na scenie. I znów dalej

w innym akcie więzieniu. Tu spodziewa się każdy, że zbrodzeń, jak dotąd wyrzekać będzie na niesprawiedliwość świata, że wytoczy cały system penitencyalny p. Sue lub coś podobnego. Otóż toby była iluzja. — Rzeczywistość każe, aby się więzień golił. Nieprzepomina też, ani skutecznego przeciągnięcia brzytwy na angielskim pasku, ani mydła pachnącego, ani nawet, ukończywszy całą golibrody operacją w najdrobniejszych a najwierniejszych szczegółach, ponieważ był kiedyś lwem i, jak sam powiada, do wysokiego należał świata, nieprzepomina nawet wódki kolońskiej — i znów to wszystko na scenie!

Z drugiego dramatu „les Belles de nuit“ ta jedna została mi w pamięci scena, i któżby ją niepamiętał, skoro ją raz w rzeczywistości zobaczył. Z rozpaczki jedna śliczna dziewczyna rzuca się do wody, druga widząc że tonie, wskakuje za nią, chcąc ją ratować, toną obiedwie... po chwili wskakuje młodzieniec i ratuje obiedwie... na scenie! — Pomimo całej okropności dramatu, chcąc niechcąc, przychodzi na myśl przechadzka koło wody i wskakujące doń z brzegu żaby!

Niedziela. — Ów dzień spoczynku, niebędzie nim, jeżeli kto zechce pójść na Wielką Operę, zobaczyć „Proroka“ p. Meyerbera. Mówimy zobaczyć, nie posłuchać, i to z rozmysłu. Bo dzieło pana Mayerbera, to nie opera, to dramat. Nie chcemy, a zapewne i nie jesteśmy w stanie sądzić muzyki Proroka, nie tu zresztą miejsce podziwiać geniusz artysty w rozprowadzeniu przez pięć ogromnych aktów cudownego pomysłu, tematu muzycznego na początku samym rzuconego; — nie tu miejsce kłaść różnicę, jaka zachodzi może w dawniejszej jego muzyce, gdzie więcej entuzjazmu i młodości, a teraźniejszej gdzie więcej sztuki i powagi. Prorok, to nie fantazja Roberta-Diabła, to nie liryzm Hugonotów, ale cała karta historii, muzycznym skreślona piórem. Prorok, to dramat z dziejów Anabatystów, w harmonijne ułożony akorda, to życie i smutny koniec Jana z Lejdy, któremu towarzyszą odpowiednie dźwięki. Prorok, to rzeczywistość ciągła, gołemu przedstawiona oku, któremu słuch za pomocą muzyki pomaga, aby ją lepiej objąć potrafił. Niema tam żadnej wyobraźni pracy. — Wojska Jana z Lejdy znajdują się w zimie w Holandii — żywność do obozu przynoszą wieśniacy, stąd balet na łyżwach. Koniec Jana z Lejdy jest tak okropną rzeczywistością sceną, iż pomimo piękności muzyki i wystawy, rzadko kto powtórnie przypatrzyć mu się odważy...

Ale dosyć już na tych kilku o Proroku słowach. Więcej niż wszystkie inne przytoczone przez nas przykłady mówi on za tym charakterem sceny francuskiej, który nas uderzył. Raz jeszcze tylko powtórzyć, zdaje nam się naszą powinnością, że niechcielibyśmy wcale sądu naszego wyrzeknąć o wszystkich przez nas wspomnianych utworach. Wzięliśmy z nich tylko to, co nam do wykrycia kierunku w sztuce dramatycznej, i udowodnienia naszego o nim zdania potrzebne było. Jeżeli niektóre przykłady, zbyt śmiałe lub obrażające smak dobry, czytelnikom się zdawały, niech nam łaskawie przebaczą, pomnąc, że o rzeczywistości traktujemy. Jest ona, naszym zdaniem, niekiedy brutalną, brutalną też czasem obrazę zpod pióra się naszego wymknęły.

Dodamy jeszcze, że ktokolwiek pilnie uważał, jak literatura, jeżeli nie przygotowująca, to istotnie ostrzegająca była przed rokiem 1848; ten pewnie dziwić się nie będzie, ani temu, że wtedy sztuka dramatyczna, owa część plastyczna literatury, w nadzwyczajnościach czyli teatralnych fikcjach smakowała; ani też, że dziś, gdzie publiczność utopiami i iluzją przesycona, w rzeczywistości choćby przesadzonej, przyjemną znajduje emocja.

W końcu zaś powiemy, że jakkolwiek wszelkie ganimy nadużycie, niewidzimy wszakże w nim

zatrąty sztuki. Niewierzymy w zagładę ludzkości, ale w jej rozwój, lubo ten rozmaite przedstawia koleje. Każdy też przeto kierunek sztuki, która według nas jest najwyższym umysłowym wyrazem ludzkości w materialnym świecie, choćby na pozór dla niej najszkodliwszy, dalszym jedynie jej być sądzimy rozwojem. M.

Krytyka literacka i naukowa.

Dzieje Polski pod panowaniem Augusta II. od roku 1696 — 1728. opisał współczesny Erazm Otwinowski. W Krakowie r. 1849.

Należy się największą słusność i pochwałę oddać usiłowaniu p. Czecha, który nakładem swym i drukiem, drugie historyczne dzieło wydaje, a tém więcej, że nie zarzucić niemożna ani pod względem starannej poprawności, ani zewnętrznej ozdoby. Przyszłemu, jaką wyrządza nam, wydając Otwinowskiego, cenimy z wielu przyczyn; raz, że wydanie pierwotne tychże pamiętników przez Edwarda hr. Raczynskiego, znikło z handlu księgarskiego; podrugie, że było w niem tyle miejsc opuszczonych, tyle przerobień co do języka, tyle kropek, miało nazwisk własnych, że książka ta niemożna być użyta za sumienne źródło przez badacza dziejów ojczyźnych. — Dzisiejsze wydanie, sporządzone według rękopisu biblioteki Jagiellońskiej, który acz niejest oryginalnym, lecz tylko wierną kopią oryginału, znajdujacego się dawniej w bibliotece, straconego, daje nam szeroki i wierny obraz dziejów Polski pod Augustem II. Mylnie Raczynski ochrzcił te dzieje pamiętnikami; — Otwinowski, czy ktokolwiek piszący je — jest historykiem, i to niepoślednim. Jeżeli pióro jego Tacytowskiemu nieźródnywa, co do mowy i wzięłości stylu, wszakże w mocy i energii myśli, w trafnym połączeniu zawiłych nienipadków, w kreśleniu niektórych figur, wyższym jest nad wiek, w którym pisał, a nawet jedynym pisarzem, który dotknął tej nieszczęsnej epoki. Zastanawiając się głębiej, przyznać musimy, iż niepospolitym był ten historyk, co zdołał ująć w ramy obraz ówczesnej Polski, szarpanej stronictwami szwedzkimi, saskimi, rosyjskimi; wystawionej na łupieżę wojsk Karola XII., na ekscesa kozaków Piotra W., których sam Sieniawski sprowadził; na burdy saskich dragonów; na konfederacyę i zdzierstwa nieślanych wojsk kwarcianych; na bunty chłopstwa ukraińskiego; a coż na sejmikowe niesnaski i hałasy, zatargi dyssydenckie, knowania dworów, przelatujące kupy partyzantów, głód, pomorek, pożogi i rabunki! — cała ta piekielna komedia, która jakby umyślnie zesłana była od Boga na próbę, czyli naród w tych nieszczęściach opamięta się, czy pozna godność swą, czy wywoła wszystkie żywotne potęgi, aby powstać z haniebnych zależności, ze spodlenia i moralnego upadku — cała ta komedia, była tylko prologiem do wielkiej tragedji — paroksyzmem konwulsyj poprzedzających zgon narodu. — Ulżyło się wprawdzie w cierpieniach pod Augustem III., lecz ta ulga, ten spoczynek błogi, czémże były? tylko chwilką snu głębokiego, pochodzącego bardziej ze znużenia, niż dającego siły i zdrowie. Właśnie to był jedyny moment ratowania się od upadku, gdy wszystko wyszło ze zwykłych karbów, i wrzało namiętnościami, i w połowie siedziało na koniu; na nieszczęście, moment ten przypadł w kilkadziesiąt lat — bo dopiero po pierwszym rozbiórce — a to już było — zapóźno!

Wiadomości Bibliograficzne i Artystyczne.

Kraków. Drukarnia akademii Jagiellońskiej rozpocznie druk 8go tomu „Historji Literatury Wiszniewskiego.“ Treść rozdziałów następująca:

Rozdział XIV. Dalszy ciąg literatury historycznej z epoki Zygmuntońskiej.

§ 1. Dzieje krajowe przez pięciu polskich hetmanów pisane. Poselstwo posłów polskich za granicę, i zdawane przez nich sprawy, czyli relacye. — § 2. Relacye posłów zagranicznych o Polsce. — § 3. Źródła historyi polskiej. Akta Tomickiego; akta bezkrólewów; listy królów, ich posłów. Drukowane zbiory historyków polskich; dyaryusze sejmowe; nowiny czyli gazety. — § 4. Historia krajów z Polską w XVI. i XVII. wieku połączonych. — § 5. Historia cudzoziemska. *Polidamus.* Historia literatury i historia powszechna. — § 6. Historyczne opisy pomniejszych zdarzeń i sprawy elekcyjne. — § 7. Autobiografie. — § 8. Biografie Polaków, przez cudzoziemców i Polaków pisane.

Rozdział XV. Historia kościelna.

§ 1. Żywoty biskupów polskich. § 2. Żywoty Jezusa Chrystusa i żywoty świętych i patronów Polski. — § 3. Bzowski, Skarga. — § 4. Historia polskich zakonów, klasztorów i opactw. — § 5. Historia akatolików przez nich samych pisana, tudzież przez katolików; również źródła i dokumenta do takiej historyi. Opis odbytych dysput z akatolikami. — § 6. O Jezuitach, ich historyi; o książkach za i przeciw nim wydanych.

Rozdział XVI. Historia literatury i kościoła ruskiego.

§ 1. Źródła historyi kościoła ruskiego i rozdwojenia cerkwi wschodniej w Polsce. — § 2. Historia drukarni kirylickich w Polsce. — § 3. Język i literatura słowiańska czyli cerkiewna. Biblia Ostrogska. — § 4. Język i literatura białoruska. Przekłady pisma świętego przez Połoczanina, Franciszka Skorynę na język białoruski. — § 5. Przekłady z greckiego i z polskiego, na język słowiański lub białoruski i czerwonoruski. — § 6. Środki kształcenia się Rusinów w Polsce. Szkoły i biblioteki, i jaki miała wpływ Turko-Grecya na ich oświecenie.

Do tego tomu dodane będzie odbicie tytułu *akafistów* wydanych w Wilnie przez Skorynę; z egzemplarza zachowanego w bibliotece akademii Jagiellońskiej w Krakowie.

— W Zakładzie wydawnictwa dzieł przy ulicy Florjańskiej Ner 603, wyszło dziełko napisane przez księcia Władysława Sanguszkę, pod tytułem: *O sztuce chowu koni i utrzymania stada.* Rzecz ta zawiera wiele gruntownych i praktycznych spostrzeżeń co do chowu koni; autor bowiem jest prawdziwym znawcą i posiadaczem najświetniejszych stad w Polsce.

— (*Mogiła Kościuski.*) Jakiś duch niszczenia i burzenia najświętszych pamiątek przez niedbalstwo w ochranianiu ich od zagłady, odwładną nas od wieków. Już to nie jeden ratusz krakowski runął, nie jedna myśl podobna zburzeniu kościoła Śgo Wojciecha, co psuje symetrię rynku, wyległa się w głowach. Słowem, świętokradzka ręka obcego, nieraz tam niedosięganie, gdzie my zagładę szerzymy. Świeżym tego dowodem jest mogiła Kościuski, ów jedyny prawie i szczególny w cywilizowanej Europie dowód miłości rodzimej ziemi i czci dla bohaterów narodu. A przecież jakże dbamy o jego całość i utrzymanie? Skoro w obecnych chwilach pierwsza zdarzyła się sposobna pora, do odwiedzin mogiły Kościuski; udałem się na tę miłą przechadzkę. Cóż jednak zastałem? ścieżki zsunęły się ku dołowi, całe masy ziemi odpadły z powierzchni mogiły, tu i owdzie po urwiskach owych ścieżek, zastałem wygniecione w zmarzłej jeszcze ziemi ślady kopyt bydłych. Tak jest dziś — a cóż się stanie wtedy, gdy słońce rozpuści zmarzłą skorupę? Wejście na mogiłę będzie nazawsze niepodobnem. Uważam sobie więc za sumienne, choć przykry obowiązek, położyć tu następne zapytania, na które pragnąłbym słyszeć odpowiedź. — Czyli jest na świecie dozorca i opiekun mogiły? i jakie jego obowiązki? Czyli jest komitet lub jaki organ obywatelski, któryby czuwał nad całością mogiły? Czyli są jakie fundusze, któremiby można w nadchodzącej wiosnie przedsięwziąć poprawę usuwającej się z mogiły ziemi? — Może kto poczyna sobie za obrazę osobistą, te moje zapytania, lecz zapewniam, iż niemiałem zamiaru naruszyć czyjejs osobistej spokojności; a przytęm tuszę sobie, że moja ta uwaga bez skutku nie pozostanie. J. Ł.

Lwów. Znany literat Szajnocha wydaje dramata: *Jerzy Lubomirski* i *Marynę Mnischównę*; ostatni ma wyjść w Poznaniu.

Wilno. Nakładem Glücksberga wychodzić zaczyna dzieło we dwóch tomach, pod napisem: *Dzieje literatury w Polsce od pierwiastkowych do naszych czasów przez Władysława Syrokomlę* (Ludwika Kondratowicza). Pracujący nad przekładem polsko-łacińskich poetów, autor jest wstanie zdać sprawę, z tej ważnej niedgdy, a dziś zapomnianej i zapoznanej gałęzi naszego piśmiennictwa, wyświetlić jej stanowisko, a w wyłomaczonych przez się wyjątkach, wykazać zalety i wady każdego z pisarzy; śledzi i wita wszędzie myśl narodową, bez względu na jej formę polską czy łacińską, a ze swoich twierdzeń usprawiedliwia się stosownymi przytoczeniami. Forma wykonania pracy pana Syrokomli uczyni ją dostępną i (śmiemy pochlebiać) zajmującą, nie tylko dla literatów z powołania, lecz dla ogółu czytelników.

— Pod nazwiskiem przybranem Staruszkiewicza, wydał Edward Odyniec poezyje satyrycznej treści; lecz pod formą mniej odstraszącą niż dawniejszych satyr. W jednej bardzo trafnie maluje wychowanie i kształcenie się tegoczesnej Lafiryndy:

Bóg-ci niedał nikomu
Rodzić się bez rozsądku;
Lecz tylko w pańskim domu,
Można wnet niemowlątku
Dać bonę, pedagoga,
By przez najpierwsze lata,
Dzieło w niem Pana-Boga,
Prostować wedle świata.
A tylko nie na lada
Pensją i podarek,
Dają się zwabić stada,
Francuzek i Szwajcarak.
Ach! bez nich niestety!
Przez żaden mus ni względy,
Z żadnej naszej kobiety
Niezrobisz Lafiryndy.
Bo krew przodków nie woda,
Bo nad świata przycinki,
Śmielsza Polki swoboda,
Szczerza tkliwość Litwinki,
A tu właśnie rzecz na tém,
Wyleć wszystko przyrodne,
By mózdz zasiał jak kwiatem,
Wszystko cudze i modne,
W czém jedynie się nadać
Może metoda taka,
Jaka się uczy gadać
Papugę albo szpaka, itd.